



Kryminał z myszką

19

**KILKA
NOCNYCH
GODZIN**
SZEŚĆ OPOWIADAŃ

Tadeusz
Kostecki

Tadeusz Kosteki

KILKA NOCNYCH GODZIN

Kryminał z myszką – Tom 19

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-47-2

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

Kilka nocnych godzin

Trzecie wyjście

Starcze dni Caligoro

Bracia krwi

Ochotnik Joe Black

Przez śnieżną pustynię

Kilka nocnych godzin

I

– Następny pociąg w kierunku Madrytu odejdzie dopiero rano. Tak około dziewiątej, dziesiątej.

Lalewicz zaklął soczyście.

Cudzoziemskie przekleństwo musiało widocznie zaintrygować człowieka po tamtej stronie okienka. Wychylił się ciekawie.

– Internacionale?

– Hm... Tak. – Nie było co robić z tego tajemnicy wojskowej. Nie trudno poznać po mundurze.

– Cóż robić, towarzyszu teniente [*Teniente – (hiszp.) porucznik.*] – nie mogąc dojrzeć w półmroku odznak, zaawansował go o dwa stopnie – wojna...

Lalewicz powtórzył to samo w myśli po zlustrowaniu niemal ciemnej poczekalni. Parę zakurzonych palm. Puste krzesła przy stolikach o marmurowych blatach. Gęsty kurz zaścielający ladę bufetu świadczył, że od dawna już tam nic nie stało. Zawartość butelki, którą mu podał kulawy kelner, była tak kwaśna, że z powodzeniem mogłaby zastąpić już nie ocet, ale niemal esencję octową. Nie był w stanie dopić rozpoczętej szklanki.

Spojrzał na zegar. Kilkanaście minut po jedenastej.

Gdy spojrzał po raz drugi, było chyba tyle samo. Żeby nie mdle lśnienie wahadła, byłby pewny, że zegar stoi. Szedł jednak.

Noc zapowiadała się piekielnie ponuro. Cóż z tego, że przespanie się choćby i na tych krzesłach będzie niewątpliwie wygodniejsze od noclegu na kamieniach pod obstrzałem kolorowych strzelców Franco? Po to otrzymał urlop i tłukł się diabli wiedzą ile kilometrów na skrzynkach od amunicji, żeby nie gnieść kości na kamieniach ani na krzesłach. Madryt... O tak. Tam nie było wojny. Naloty? Phy, to się niemal nie liczyło. Ale kawiarnie, knajpy... Życie...

Znowu wyrwał bufetową z drzemki.

– Czy tu w mieście można gdzieś przenocować?

Zamrugła sennie oczyma.

– O tak. – Chociażby w Komitecie.

Stłumił westchnienie.

Stemplował tam dokumenty, zaraz po zejściu z ciężarówki. Gdzieś na drugim końcu miasta. Włókł się stamtąd chyba godzinę.

– A gdzieś bliżej?

– Na pewno nie będzie z tym trudności. Tyle stąd ludzi powyjeżdżało.

Od razu po wyjściu na plac przed dworcem natknął się na patrol. Długo świecili latarkami, sprawdzając przepustkę. W pierwszej chwili chciał ich zapytać o nocleg, potem jednak zrezygnował. Tacy formalisci. Na pewno poradzą mu Komitet. Nie miał ochoty na godzinny spacer po krętych uliczkach nie znanego miasteczka.

– W porządku. – Dowódca patrolu odsalutował. – Tylko uważajcie, poruczniku. Tu u nas różni ludzie.

II

Na ulicach pusto i ciemno. „Ciekaw jestem, jak tu wyglądało przed wojną”. – Rozejrzał się. Wreszcie jakiś przechodzień. Gdy go zatrzymał, robił wrażenie przestraszonego nie na żarty.

– Hotel? Owszem. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku. Widać było, że pragnie jak najszybciej czmychnąć.

Dopiero przy rogu następnej przecznicy jakaś pokraczna sylwetka. Chyba garbus? Może zresztą tylko tak bardzo przygarbiony. Trudno było przyjrzeć mu się dokładnie w mroku.

– Hotel? – Błysnęły białka jego oczu. – Czy to koniecznie musi być hotel?

Lalewicz wzruszył ramionami. Miał już dość tego włóczenia się po wymarłym mieście. Był piekielnie zmęczony. Bezsenność poprzednich nocy natarczywie dawała znać o sobie.

– Wcale nie. Chodzi mi po prostu o wygodne łóżko. Zapłacę. – Dobrze zapłacę.

Oczy garbusa zabłyśły jeszcze mocniej.

– Tu niedaleko jest pokój. Będzie tam panu pułkownikowi jak w raju.

Lalewicz uśmiechnął się mimo woli. Niedługo zaczną go tytułować chyba generałem.

– Dobrze.

Garbus ruszył przodem, wskazując drogę. Nie było jednak tak blisko, jak zapowiadał. Jedna uliczka, druga, trzecia. – Lalewicz bezskutecznie usiłował zapamiętać drogę. W końcu zrezygnował. Zupełnie jakby w jakimś labiryncie. Ziewnął. Co tam, w dzień...

W końcu zatrzymali się przed jakąś kamieniczką. Misternie kute kraty zabezpieczały okna. Na wąskiej fasadzie jakieś oblaźłe ornamenty. Lalewiczowi przypomniało się Stare Miasto.

Garbus długo pociągał za odwieczny dzwonek.

Potem prowadzili półgłosem pertraktacje. Nawet nie próbował się przysłuchiwać. Choćby i mówili całkiem głośno, niewiele by zrozumiał. Hiszpańskiego liznął tyle co nic.

Wreszcie uchyliły się ciężkie, nabijane żelazem drzwi.

– Proszę, panie pułkowniku.

Wąską klatkę schodową wypełniał zaduch stęchlizny. Płomyk przesłanianej dłonią świeczki rzucał długie cienie na ściany pokryte jakimiś niemożliwymi do odcyfrowania malowidłami. Chybotwały groteskowo, zdając się przedrzeźniać każdy ruch.

Lalewicz potknął się o wyszczerbiony stopień i zaklął gniewnie.

– Ostrożnie, panie pułkowniku. – Garbus podtrzymał go pieczołowicie.

Teraz dopiero mógł zobaczyć z bliska jego oczy. Okrągłe jak u puchacza, ni to zielonkawe, ni to żółte. Trudno powiedzieć, by sprawiały zbyt przyjemne wrażenie. Takie jakies... Ale jakież znaczenie miał wygląd gospodarza? Chodziło przecież tylko o to, by łóżko było wygodne.

Znowu się potknął.

– Cóż to, elektryczność się u was popsuła? – mozolnie ułożył zdanie. Garbus zachwiał głową. Wyolbrzymiony cień przesunął się gdzieś w górze niby dziwaczne ptaszysko.

– Nie... To stary dom...

Lalewicz trzymał się teraz poręczy, tłumiąc wstręt, jaki w nim budziło dotknięcie oślizłego drzewa.

Wreszcie korytarz. – Cienie zapełgały teraz na odległych łukach sufitu.

– Ten pokój. – Garbus otworzył jakieś drzwi.

Lalewicz odebrał mu świecę i podszedł do staroświeckiego łoża, stojącego na samym środku. Odrzucił koldrę, przybliżając światło. Pościel, niewątpliwie czysta, wyglądała, jakby ją dopiero co powleczone. Żadnych śladów robactwa. Pomacał sprężyny. Ugięły się elastycznie. Po tym, co dotychczas zobaczył, nie oczekiwał, że znajdzie tu aż takie łóżko.

– Dobrze. Biorę ten pokój. Ile? – Sięgnął do kieszeni.

– Och... nie ma się co śpieszyć, senior [*Senior – (hiszp.) pan.*]. Jutro.

– Chciałbym jednak wiedzieć.

Śmiech przypominał zgrzytanie pilnika po szkle.

– Niech senior będzie spokojny. Nie obedrę go. Policzymy się. Buena noche [*Buena noche* – (hiszp.) *dobranoc.*].

Wyszedł zostawiając świecę.

III

Klucza w drzwiach nie było, ale rygiel wyglądał dość solidnie. Zasuwał go nie przejmując się piszczącym protestem żelastwa. Tym lepiej, że taki hałaśliwy. „Tu u nas różni ludzie”? Pewno. Cóż wiedział o swym gospodarzu? Franco nie szczędzi pieniędzy na podtrzymanie działalności piątej kolumny. Bo to raz kula wylatywała ze strychów w miastach położonych na dalekich tyłach. A tu tyły wcale nie były tak dalekie.

Drgający płomyk oświetlał nader skąpy krąg. Dalej było coraz ciemniej. W odległych kątach mrok zagęszczał się niemal do atramentowej czerni.

Ze świecą obszedł dookoła rozległy pokój. Nie, żadnych innych drzwi. Wielka rzeźbiona szafa zajmowała niemal całkowicie jedną ze ścian. Trzeba by chyba dziesięciu ludzi, by ją poruszyć z miejsca. Stara skrzynia o kształcie nasuwającym nieodparcie porównanie z sarkofagiem. Dwa karły i jeden fotel rozsiewający mocną woń pleśni.

To było wszystko.

Wreszcie usiadł na łóżku. Pokój jak pokój. Nic, co by mogło nasuwać jakiegokolwiek podejrzenia. A przecież w dalszym ciągu czuł się nieswojo. Jakby... Nie, nie potrafił określić tego uczucia. Może to dlatego, że nie znosił starych domów? Tu zaś jakby się cofnął nagle o parę stuleci. „Histeria, psiakrew!” – roześmiał się niemal głośno. Ale śmiech nie był całkiem szczery.

Echo długo syczało po kątach. Drugi raz już by się nie odważył na śmiech.

Świeczka dopalała się. Popatrzał na nią krytycznie. Akurat starczy, by się rozebrać. Ściągnął buty.

Płomyk chybotał coraz bardziej. Zaraz zgaśnie. A potem?

Prawda. Pomacał się po kieszeni, wydobywając płaską latarkę. Przesunął guzik, błysnęło słabe, żółtawe światelko. Baterijka była na wyczerpaniu. Dobre i to. Wsunął ją obok pistoletu pod poduszkę. Pewno nie zajdzie potrzebą jej użycia. Zaśnie jak kamień. Żeby tylko nie przespać pociągu. Dopiero koledzy pękaliby ze śmiechu, gdyby tak spędził cały urlop w tej zakazanej miejscinie. Pociągi chodzą, jak chcą. Szkoda, że nie poprosił garbusa, aby go obudził. Co tam... Na froncie nauczył się otwierać oczy o oznaczonej godzinie, choćby nawet spał jak kamień. Jakiś specjalny rodzaj instynktu, zastępujący budzik. Dlaczego by więc i tu...

Wsunął się pod kołdrę. Ziębiła przez bieliznę chłodem wilgoci. Co tam... Aby jakoś się przespać.

Płomień świeczki wydłużył się, błysnął niemal białym światłem i zgasł. Głowa zapadła w poduszkę jak w coś niematerialnego. Nie miał wątpliwości, że była puchowa, i to najlepszego gatunku. Ale z tego puchu bił jakiś trudny do zdefiniowania zapach. Nie, wcale nawet nie specjalnie przykry. Ziola, nie ziola. Po chwili doszedł do wniosku, że raczej chyba jakieś lekarstwo. Przykry czy nie przykry, zaczynał go denerwować. Diabli wiedzą, czy nie po jakiejś zakaźnej chorobie. W końcu złożył kurtkę, przykrywając poduszkę. Stało się o wiele mniej wygodnie, ale za to stokroć bardziej swojsko.

Wyciągnął się. Sen jakoś nie nadchodził. Nie potrafił zrozumieć powodu. Był przecież tak nieludzko zmachany. W ostatnim tygodniu dobrze, jeżeli w sumie przespał dziesięć godzin. A i to w jakich warunkach. Wreszcie oczy zaczęły się kleić. Nagle otworzył je szeroko. Śniło mu się? Nie, to nie był sen.

IV

Szmer przyciszonych szeptów to głuchł, to znowu odżywał. Oszołomienie snem, w który zaczął zapadać, minęło jak zmyte wodą. Co u licha? Przy tak grubych murach?

Nadsłuchiwał z natężeniem. Zupełnie jakby szeptano w tym samym pokoju. Ręka wśliznęła się pod poduszkę. Namacał pistolet i ostrożnie odsunął bezpiecznik. Długo nie mógł sobie przypomnieć, czy nabój był w lufie. Repetowanie musiałyby narobić niepotrzebnego hałasu. Chyba go jednak wprowadził? Potem wydobyl latarkę. Niech sobie nie wyobrażają, że go zaskoczą znienacka.

Ale może po prostu ktoś rozmawiał w sąsiedztwie? Jakiś wspólny przewód kominowy odgrywa rolę tuby akustycznej. W starych domach nie brak tego rodzaju niespodzianek.

No, zobaczy się. Leżał bez ruchu. Na wszelki wypadek nawet posapywał jak człowiek pograżony w głębokim śnie. Diabli wiedzą...

Dopiero po upływie dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że obudziły go nie tylko podejrzanе odgłosy. Czuł niemal fizycznie czyjeś natrętne spojrzenie. Zacisnął mocniej palce na rękojeści pistoletu. Chłód idący od stali działał uspokajająco. Patrząc spod na wpół przymkniętych powiek, usiłował walczyć z ciemnością zalegającą pokój. Majaczyły przed nim zamazane wprawdzie, ale jednak widzialne kontury przedmiotów. Nie. W pokoju nie było nikogo.

Cóż więc mogło znaczyć to alarmujące doznanie obcego wzroku? Złudzenie? Chyba nie. W warunkach życia frontowego, w których niekiedy od dostrzeżenia zdawałoby się całkiem błahej zmiany w otoczeniu zależy życie, zmysły ludzkie odzyskują pierwotną wrażliwość. Był niemal pewny. Ktoś na niego patrzył. Ale skąd?

Okno? Przez chwilę błędził podejrzliwym spojrzeniem po ciemnych szybach. To, że pokój znajdował się na pierwszym piętrze, nie stanowiłoby ostatecznie przeszkody nie do pokonania. Ale okno zasłaniała od zewnątrz gruba, gęsta krata.

Odrzucił powoli głowę. Nic nie mąciło jednostajności leżącego poza nim mroku. Któraś ze ścian? W tych starych budynkach można natrafić na całkiem zdawałoby się nieprawdopodobne urządzenia. Wzrok wędrował powoli po ciemnych płaszczyznach.

Nagle znieruchomiał. Lśnienie dwóch fosforyzujących punkcików na tle wielkiego prostokąta. Szafa! Że też nie wpadło mu na myśl zajrzeć, co się w niej kryje. W drzwiczkach na wysokości głowy dwa otworki. I ktoś patrzył przez nie, wytrzeszczając oczy.

Czuł, jak na czoło występują mu drobne kropelki potu. Mózg pracował z gorączkowym wysiłkiem. Sytuacja stała się jasna. Tego już nie dało się żadną miarą położyć na karb przypadkowości. W szafie znajdowali się ludzie. Co najmniej dwóch, jak świadczyły dosłyszane przed chwilą szepty. Zamiary ich nie mogły ulegać wątpliwości.

Co robić? Był zdany wyłącznie na własne siły. W kilkułokciowych murach odwiecznego budynku utoną bez echa wszystkie odgłosy. Krzyk o pomoc nie rokował żadnych szans powodzenia. To samo było ze strzelaniną na alarm. Nie usłyszeliby nawet najbliżsi sąsiedzi.

Zresztą skąd wiadomo, kim oni byli?

Jest sam. Ale w dłoni tkwi twardo broń. Nie da się przecież zarznąć jak ciele prowadzone na rzeź. Początkowe przerażenie ustępowało miejsca wściekłości. Powoli zaczęła się rozpalać gorączka myśliwska. Te otworki... Nie mogli przecież przewidzieć, że poprosi o nocleg. Na pewno pułapka została zastawiona nie po raz pierwszy. Bo to raz żołnierze armii rządowej znikali jak kamień w wodę, a poszukiwania nie dawały żadnych rezultatów?

– Dobrze – zacisnął zęby – zobaczymy.

Teraz już myśl całkowicie odzyskała chłodną precyzję. W czasie zwiadów też zdarzały się sytuacje pozornie bez wyjścia. A przecież wyjście trzeba było znaleźć.

Poruszył się jakby przez sen. Poprawił poduszkę. Przy sposobności zwinął kurtkę tak, by sprawiała wrażenie ludzkiej głowy. Ciemność zalegająca pokój winna uzupełnić braki w inscenizacji.

Ostrożniutko, cal po calu zaczął się przesuwać ku krawędzi łóżka. Ku tej, która znajdowała się po przeciwległej stronie szafy.

Jeżeli zauważą? – Nie powinni chyba...

Trwało to długo. Wreszcie dotknął twardego kantu rzeźbionego drzewa. Teraz następował najtrudniejszy moment. Około pół metra od niego stał rozłożysty fotel, za którym można by się wygodnie ukryć. Ale przebycie tej odległości w taki sposób, by ci obserwatorzy z szafy nie zauważyli...

Ześlizgiwał się ostrożnie. Należało za wszelką cenę unikać gwałtownych ruchów.

Wreszcie znalazł się na podłodze. Pachniała stęchlizną i myszami. Przez dłuższą chwilę trwał bez ruchu. Zauważyli? Podniósł oczy ku drzwiczkom szafy. W każdym razie nic nie świadczyło o tym. Zielonkawe punkciki fosforyzowały z niezmiennym natężeniem. Wzrok tego kogoś był wciąż utkwiony w łóżko.

Zaczął się czołgać. Poruszony kurz zawiercił w nozdrzach. Walczył rozpaczliwie z chęcią kichnięcia. Zdołał się jakoś opanować. Pełznął dalej.

V

Teraz poczuł się prawie bezpiecznie. Fotel osłaniał go niemal jak szaniec. Osiem kul, ba... Choćby ich nawet było kilku.

Znowu opanowały go wątpliwości. Czy aby nabój w lufie? Gdy przyjdzie decydujący moment, może nie starczyć czasu na repetowanie. Nie mógł już dłużej znieść niepewności. Zaczynała go pozbawiać zimnej krwi. Na nic...

Niezmiernie powoli zaczął odciągać lufę. Nie, nie do końca. Szczęk sprężyny byłby zbyt głośny. Wcisnął koniec palca w podłużny wykrój. Odetchnął z ulgą, namacawszy nabój. Wszystko było w porządku.

Ulokował się jak można najwygodniej. Kto wie, jak to długo potrwa. Nie chciał zaś dopuścić do odrętwienia mięśni.

Czekał, skupiając uwagę, z nerwami napiętymi do najwyższych granic. Znowu szept. Chyba więc nie zauważyli jego wędrówki.

Ciche skrzypienie. Skrzydło drzwiczek uchyliło się ostrożnie. Niemal bezszelestnie wychynął cień. Garbus. Poznał charakterystyczny zarys sylwetki. Potem drugi. Krępy, barczysty. Po nim już nikt. Widocznie tylko dwóch siedziało w zasadzce albo też reszta czekała ukryta na wszelki wypadek. W szafie mogło się zmieścić swobodnie kilku.

Suną w kierunku łóżka. Ani jedna tafla posadzki nie trzasnęła. Musieli być boso albo w gumowym obuwiu. Są coraz bliżej. Lalewicz wstrzymał oddech. Palec dotykał cyngla, w drugim ręku latarka. Jeszcze czekał, żeby zdobyć pewność. Zamach ramienia. Mdłym błyskiem załśniło wzniesione do ciosu ostrze. Teraz!

Nacisnął guzik latarki. Smuga żółtawego światła wyrwała z mroku zastygłe nagle sylwetki.

– Ręce do góry, seniores! – Chłodny dźwięk własnego głosu przywrócił mu spokój do reszty. Panował nad sobą w zupełności.

– Ręce do góry, bo kula w łeb! – powtórzył popierając rozkaz znaczącym ruchem lufy. Nie był pewny, czy właściwie ułożył zdanie. Zrozumieli jednak. Nóż z brzękiem potoczył się na podłogę. Wybałuszone oczy wskazywały, że nie mogą zrozumieć, co się stało. Nie było ani sekundy do stracenia. Moment zaskoczenia nie będzie trwał długo. A kto wie, ilu ich jeszcze siedzi w tym domu? Zdecydował się w jednej chwili. Skoczył z rozmachu, przerzucając w ręku pistolet. Dwóm uderzeniom rękojeścią towarzyszył głuchy odgłos stuknięcia. Runęli jak porażeni piorunem. Lalewicz miał nie byle jaką wprawę w „zdobywaniu języka”. Przydała się teraz. Rozejrzał się w słabnącym coraz bardziej świetle latarki. Przy udrapowanych po bokach okna portierach dostrzegł jedwabne sznury. Zerwał je ostrym

szarpięciem. Wypróbował. Pokiwał z uznaniem głową. Można by ich z powodzeniem używać zamiast lin okrętowych. Podszedł ku leżącym na podłodze. Wciąż jeszcze byli nieprzytomni. Spętał obydwo skrupulatnie, po czym przybliżył reflektor, sprawdzając węzły. Na pewno nie zdołają się uwolnić o własnych siłach. Ale jeśli mają w domu współników?

Oświetlił wnętrze szafy, trzymając pistolet gotowy do strzału. Aż zagwizdał przez zaciśnięte zęby. Zamiast tylnej ściany zobaczył drzwiczki, teraz lekko uchylone. Co się kryje za nimi? Zawahał się, opanował jednak chęć pójścia dalej. To nie miało w tych warunkach najmniejszego sensu. Latarka wyraźnie dogasała. A w ciemności na zupełnie nieznanym terenie byłby bezradny. Obejrzał zewnętrzne drzwiczki. Żadnego klucza, za to rygiel od wewnątrz.

Znowu rozejrzał się po pokoju. Czym by zabarykadować tę szafę? Wzrok zatrzymał się na fotelu. Sądząc po rozmiarach chyba był ciężki. Aż się zasapał, zanim go zdołał przydźwigać. Podparł drzwiczki. Teraz już nie otworzą tak łatwo.

Wciągając szybko mundur, jeszcze raz spojrzął na spętanych ludzi. Żaden nie dawał znaku życia. Może jeszcze byli nieprzytomni, może udawali. Wszystko jedno. Ruszył ku wyjściu. Ostrożnie odsunął rygiel. Mimo to zgrzyt wydawał się alarmujący. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Aż zaklął przygryzając wargi. Nawet nie drgnęły. Były zamknięte z zewnątrz.

VI

Chwilę patrzył bezradnie. Pułapka wciąż nie chciała otworzyć swych paści. Zastanowił się. Okno opatrzone było kratą. Pozostawało więc tylko przejście przez szafę. Co go czeka po tamtej stronie zamaskowanych drzwiczek? Wzruszył ramionami. Trudno, nie miał żadnego wyboru.

Odsunął fotel, który dopiero co z takim wysiłkiem przystawił. Podniósł rękę ku ozdobnemu uchwyтови. A jeśli tymczasem zdołali szafę zaryglować od wewnątrz? Na samą myśl o tym aż mu się zimno zrobiło.

Drzwiczki ustąpiły jednak. Zagłębił się w przepojoną ciężkim odorem stęchlizny czeluść.

Drgające światło latarki żółkło coraz bardziej. Zasoby baterijki dobiegały kresu.

Drugie drzwiczki. Te również nie stawiały oporu. Nie pomyśleli widocznie o ich zabezpieczeniu. Nie pomyśleli albo też zastawili jakąś nową pułapkę.

Nadłuchiwał przez krótką chwilę. Należało wydostać się z tej matni. Zeszedł jakby po stromym stopniu. Serce biło przyśpieszonym rytmem. Czuł się znacznie gorzej niż w czasie zwiadu pod ogniem wroga.

Pod podeszwą trzasnęła posadzka. Znajdował się już po przeciwległej stronie szafy. Panował tutaj mrok nie zmącony najsłabszym choćby prześwitem. Widocznie okna zostały szczelnie zasłonięte.

W tamtym pokoju drzwi umieszczone były po lewej stronie. Z tego chyba też powinny prowadzić na korytarz? Ale to wcale nie było takie pewne. Nieraz już zdumiewała go w tym kraju dziwaczność rozplanowania wnętrza starych domów.

Przełknął ślinę, ruszając w lewo. Jeden krok, drugi. Zgasił latarkę. Musiał oszczędzać resztek elektryczności w bateryjce.

Nagle przystanął.

Coś poruszyło się w mroku? Tak, teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Usłyszał miękkie, skradające się kroki. Ktoś znajdował się tuż przy ścianie, ku której Lalewicz dążył. Czy chcą mu przeciąć odwrot?

Skierował w tamtą stronę reflektor, naciskając guzik przełącznika. Mdłe, wodniste światło roztopiało się, nie docierając do celu. Nie zobaczył nic. Podniósł pistolet.

– Stać – wrzasnął groźnie – bo będę strzelać!

Tamten musiał zrozumieć. Lalewicz był przekonany, że okrzyk zabrzmiał zupełnie prawidłowo. Tych słów używano często na froncie. Nie usłuchał jednak. Znowu odgłos kroków, jakby nawet jeszcze szybszych.

Pociągnął za spust. Nie miał najmniejszej nadziei trafienia, niech jednak wie, że to nie żarty.

Rozbłysnął krwistą czerwienią wydłużony język ognia. Basowy huk strzału przetoczył się dudniącym echem pomiędzy ścianami. W migawkowym skrócie wystąpiły ostro zarysowane kontury sylwetki skulonego człowieka.

Lalewicz skoczył wydłużonym susem. Wydało mu się, że oprócz postaci ludzkiej dojrzał również drzwi.

Pędził co tchu, na nic już nie zważając. Jeżeli i te zdążą zamknąć? Łomot zatraskiwanych drzwi. Nacisnął klamkę. Stawiała opór, widocznie ktoś ją przytrzymał po tamtej stronie. Ale jeszcze nie przekreślił klucza w zamku.

Szarpnął rozpaczliwie. Tamten nie zdołał utrzymać klamki. Słysząc było, jak odskakiwał gdzieś w wypełnioną atramentową czernią przestrzeń. Lalewicz wypadł na zewnątrz. Chyba znajdował się w korytarzu? Znowu zaszurały kroki. Nie potrafił się zorientować, z której strony dobiegały. Zdawało się, że cały dom rozbrzmiewa najrozmaitszymi szmerami i trzaskami.

Rozległ się ponownie dźwięk zamykanych drzwi. Przed nim, poza nim czy gdzieś z boku? Wszystko jedno. Musiał jak najszybciej dotrzeć do schodów. Którędy się do nich szło? Zastanowił się. Chyba w prawo? Omyłka mogła kosztować zbyt drogo. Tak, raczej właśnie tam. Ruszył, nie mając pewności. Nie łudził się ani na chwilę, że będą czekać z bezczynnie założonymi rękoma, zanim wyjdzie z tego domu. Więcej niż pewne, że uczynią wszystko, co tylko leżało w ich mocy, by go nie wypuścić stąd nigdy.

Włączył latarkę. To już trudno było nazwać światłem. Jakaś niezmiernie słaba poświata, gasnąca w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów przed szkłem reflektora.

Teraz był już pewien, że znajduje się na korytarzu, choć nie widział jego ścian, nie widział sufitu, nie widział końca ani początku, nie widział właściwie nic poza miejscem, na którym stawiał następny krok.

Nikła smużka promieni dygotała, słabła, aż w końcu zgasła zupełnie.

Miał takie uczucie, jakby oczy przesłoniła nagle nieprzenikniona zasłona. Szedł po omacku wyciągając przed siebie pistolet. Gdyby go musiał użyć, niewielki byłby z niego pożytek. Jak celować do kogoś, kogo się nie widzi?

Odgłosy, których znaczenia nie potrafił określić, nie ustawały ani na chwilę. Wzrastało uczucie zgrozy. Coraz trudniej przychodziło zwalczać pragnienie panicznej ucieczki, na oślep. Całym wysiłkiem woli trzymał nerwy na wodzy.

Przystanął raptownie, zamieniając się cały w słuch. Ktoś zakradał się z boku. To stało się już nie do wytrzymania. Wrzasnął ochryple: – Ja cię!... – rzucając się na łeb na szyję w tamtym kierunku.

Słyszał, jak tamten ucieka. Okazał się jednak szybszy od niego. Otarł się w rozpędzie o czyjeś ramię. Zahamował w miejscu, rozstawiając szeroko ręce. Tym razem ma go przecież. Palce dotknęły szorstkiego materiału...

Niewidoczny w mroku człowiek odskoczył ze zduszonym przekleństwem. Zapadła głucha cisza. Lalewicz rzucił się w jedną stronę. Potem w drugą. Wyciągnięte do chwytu dłonie natrafiły na próżnię. Zrezygnował z dalszego pościgu. Widocznie tamten gdzieś się przyczaił i trwał w bezruchu. Poszukiwania w tych warunkach nie miały najmniejszej szansy powodzenia.

Cóż zresztą przyszłoby z tego, gdyby go nawet odnalazł? Było ich tu przecież więcej. Rozpocznie walkę z jednym, pozostali zaś skoczą mu na plecy.

Za wszelką cenę musiał się wydostać na ulicę i sprowadzić żołnierzy albo milicję. Ale gdzie te przekłete schody? Wydawało mu się, że już dawno powinien być do nich dotrzeć. A jeżeli wybrał niewłaściwy kierunek? Przełknął ślinę. Żeby to wszyscy diabli!

Ruszył z determinacją przed siebie. Na zawrócenie w każdym razie nie stałoby czasu.

Znowu ciche kroki za plecami. Wzdłuż krzyża przebiegł mu przykry dreszcz. Odwrócił się gwałtownie. Poderwał lufę pistoletu.

– Stać, do ciężkiej cholery! – Ostatnie słowa wykrzyknął po polsku, nawet sobie z tego nie zdając sprawy.

Lufa opadła bezwładnie. Miał przed sobą jednolitą ciemność. Nie słyszał już teraz nic. Do kogóż więc strzelać?

A przecież przysięgłby, że ktoś waruje w odległości nie większej niż kilka metrów. Instykt wyostrzony w czasie służby zwiadowczej podszeptował mu to bez potrzeby widzenia i słyszenia. Zawrócił ruszając przed siebie.

To była ciężka wędrówka. Jakby w jakimś koszmarnym śnie.

Nie przestawał nad słuchiwać. Słuch w tych okolicznościach musiał zastąpić wszystkie zmysły.

Znowu skradanie się za plecami. Odwrócił się błyskawicznie i bez zastanowienia nacisnął cyngiel. W rozbłysku wybuchu dojrzał zgiętą postać, odskakującą gwałtownym susem w bok. W rękach nieznanego załśnił jakiś metal. Nóż? Pistolet? Łom? Nie zdążył tego zauważyć. Strzelił jeszcze raz. Nic nie świadczyło o tym, że trafił.

Potem przeciągła cisza. Wzruszył ramionami, podejmując dalszy marsz w nieznaną. Tamten na pewno zdołał się schronić w jakimś bezpiecznym miejscu. Nie brakło tu zakamarków.

Przejmujący zgrzyt powolnie obracanych zawiasów. Tym razem odgłos dobiegł skądś od przodu. Przesunął końcem języka po zaschłych wargach. Morderca przed nim, morderca za plecami. Po obu bokach mury. Kocioł według wszelkich prawideł taktyki.

Palec trwał na cynglu. Lalewicz postanowił iść przebojem, niezależnie od tego, ilu zastąpi mu drogę.

Naraz ciemność jakby zrzędła. W oddali szarzał jaśniejszy prostokąt długiego okna. Odetchnął z ulgą. Obrął jednak właściwy kierunek. Od razu odzyskał równowagę ducha. Zdawał sobie doskonale sprawę, że do ocalenia jeszcze daleko, ale przynajmniej widział cel, do którego należało dążyć. A to już znaczyło bardzo wiele.

Teraz odgłos kroków rozległ się w kilku miejscach na raz. Słyszał wyraźnie, że biegną. Było ich paru.

Ruszył w dół po schodach, przeskakując po kilka stopni. Trzymał się jednak ręką wyślizganej poręczy. Pamiętał dobrze o wykruszonych kantach kamienia. Gdyby upadł, na pewno nie pozwoliliby mu się podnieść więcej. Był już na dole. Porywczo sięgnął ku klamce kunsztownie wykutej z żelaza. Nacisnął, napierając na drzwi. Nie ustąpiły. Szperał pa omacku. Czyż wyjmuje się klucz z zamku? Tu jednak wyjęto.

Zdrętwiał. Ręka opadła bezwładnie. Co miał począć dalej? O wyważeniu drzwi nie mógł nawet marzyć. Wzmocnione grubymi sztabami żelaza i gęsto nabite ćwiekami, przypominały bramę średniowiecznej fortecy.

Na górze u wylotu schodów powstał nagle jakiś ruch. Przez chwilę celował w miejsce, gdzie ciemność wydawała się specjalnie zagęszczona. Zwierał szczęki, by się opanować. Musi trafić. Musi!

Wreszcie strzelił. Zdławiony jęk obwieścił, że kula nie poszła na marne.

W mroku zakotłowało się gwałtownie. Trwało to krótką jak mgnienie oka chwilę, zdążył jednak wystrzelić ponownie. Tym razem chyba nie trafił.

Na górnym podejściu zrobiło się pusto i cicho. Lalewicz jeszcze przez pewien czas nie opuszczał pistoletu. Nie zaszkodziłoby wygarnąć parę razy na postrach. Już nieomal naciskał

cyngiel, gdy powstrzymała go nagła refleksja. Jak to właściwie było z nabojami? Na górze wystrzelił trzy, tutaj dwa. W magazynku miał ich siedem sztuk, w lufie ósmą. Pozostały więc jedynie trzy. Niezbyt wiele jak na taką piekielną sytuację. Po prostu śmieszne.

Znowu zajął się drzwiami. Słyszał kiedyś o wystrzeliwaniu zamku kulami. Sam tego nigdy nie próbował, mówiono mu jednak, że niekiedy się udawało. Dotyczyło to zresztą nowoczesnych, lekkich zamków. Ale czy kula zdoła rozbić taką średniowieczną, potężną machinę? Postanowił zaryzykować. Cóż mu zresztą pozostawało innego?

Przyłożył niemal lufę do otworu zamka. Huk targnął powietrzem. Kula odskoczyła, uderzając z głuchym pacnięciem w któryś ze stopni schodów. Nacisnął klamkę, szarpiąc ze wszystkich sił drzwi. Żadnego rezultatu.

Wystrzelił jeszcze raz. Odbita rykoszetem kula zagwizdała tuż obok ucha. Targał teraz klamkę oburącz. Sprężyny zamku trzymały tak samo mocno jak przed strzałami.

Gdy po raz trzeci pociągał za cyngiel, w mózgu kołatała natrętna świadomość: ostatni nabój. Ostatni! Serce zamieniło się w kawał lodu. Jeżeli i teraz kula odskoczy nie naruszając zamku?

W drzwiach zagrzechotało brzękiem żelastwa.

Położył rękę na klamce.

VII

Zagrzmiał huk wielu, szybko następujących po sobie strzałów. Powietrze rozedrgało się przeciągłymi skowytami. Kule uderzały jak grad o drzwi. Niektóre odlatywały od żelaza, inne grzęzły w deskach.

Instykt przygiął Lalewicza ku kamiennej posadzce. Poderwał się niemal natychmiast. Kanonada trwała bez przerwy. Gorący wiew musnął mu skroń. Pocisk przeleciał obok niej o ułamek centymetra. Trudno. Jeżeli zamek nie został wybity...

Pchnął drzwi uderzeniem całego ciała. Rozwarły się z trzaskiem. Wyleciał na ulicę niczym wyrzucony z katapulty.

Oparł się aż przy murze przeciwległej kamieniczki.

W pierwszej chwili niemal nie wierzył własnym zmysłom. Czyż to możliwe, by naprawdę zdołał się wydostać z tego piekła?

Oparł się ciężko o wilgotną ścianę. Miał takie uczucie, jakby go niespodziewanie powstrzymano w czasie gwałtownego spadania w głąb bezdennej przepaści. Spazmatyczny rytm oddechu powoli wracał do normy. Obezwładniająca słabość nóg ustępowała. Nieraz śmierć ocierała się o niego, ale przecież nigdy w tak ohydnej postaci.

Było mu wszystko jedno, dokąd pójdzie, byle tylko jak najdalej od tego ponurego domostwa, gdzie o mały włos nie spotkała go śmierć pod ciosami morderców. Opanował się całym wysiłkiem woli. Jeżeli stąd odejdzie, nie odnajdzie już nigdy tego domu. Przypomniał sobie sieć krętych uliczek, którą go prowadzono. Labirynt... Otóż to. A czyż mógł pozwolić, by pułapka w dalszym ciągu czyhała na kogoś z towarzyszy broni? Fasada tonęła w ciemności. Gdyby nawet zdołał ją obejrzeć, to i co z tego? Podobnych domów na pewno było w miasteczku całe setki. Nazwa ulicy? Nie zauważył niczego, co by przypominało choć w przybliżeniu narożne tabliczki. Może tego się tu w ogóle nie praktykowało? Ulica była zupełnie pusta, tonęła w ciemności i ciszy. Ale to przecież nie mogło trwać wiecznie, w końcu przyłapie kogoś, kto zgodzi się pobiec do Komitetu.

Postanowił czekać. Przeszedł na drugą stronę, kryjąc się w cieniu jakiegoś wykuszu. Nie dostrzegą go tu chyba. Zresztą wątpliwe, czy odważyliby się zaatakować na ulicy. Wokół mieszkają ludzie. Cóż z tego, że śpią? Krzyk tutaj nie mógłby zostać niedosłyszany.

Oczekiwanie przeciągało się. W rękę wciąż zaciskał pistolet. Wystrzelić już z niego się nie dało, ale postraszyć było można. Skąd mieli wiedzieć, że nie wziął ze sobą zapasowych magazynków? Niekiedy nawet nie nabita broń może oddać nieocenione usługi.

Drzwi poruszyły się. Przyłgął jeszcze bardziej do chropowatego muru, rozplaszczając ciało na pokrytej wilgotną pleśnią powierzchni. W jaki sposób zdoła przeszkodzić ucieczce?

Obite żelazem skrzydło uchylało się coraz bardziej. I w tej samej chwili z głębi uliczki zaczął dobiegać odgłos miarowych kroków.

VIII

Jednym skokiem wyprysnął na środek jezdni.

– Tutaj! – wrzasnął na całe gardło. – Tutaj!

Rytm powolnego marszu przeszedł w szybki bieg.

Otoczyli go ze wszystkich stron. Błysnęły latarki.

– Co się stało?

– Tam – wskazał na drzwi, które tymczasem zdążyły się zamknąć z powrotem. –

Mordercy. Agenci generała Franco! Piąta kolumna!

Dowódca patrolu zapragnął bliższych wyjaśnień. Zamachał na niego gwałtownie rękoma.

– Prędej, bo puciekają. Później wam wszystko wytłumaczę. Chcieli mnie zamordować!

Już się przestali wahać. Działalność agentów piątej kolumny nie stanowiła czegoś, w co byłoby trudno uwierzyć. Pędzili ku drzwiom. Lalewicz dotknął rękawa dowódcy.

– Może jakieś okna wychodzące na przeciwległą stronę?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Tu domy stoją tyłami do siebie. Jeżeli nie zdążyli uciec tymi drzwiami, mamy ich w saku.

– Nie zdążyli.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI